

Instytut Pamięci Narodowej

<https://ipn.gov.pl/pl/mdpoo/87168,Pieklo-po-niemiecku-wedlug-Pileckiego.html>
26.04.2024, 18:41

Piekło po niemiecku według Pileckiego

Data publikacji 24.01.2020

Kiedy do Konzentrationslager Auschwitz 14 czerwca 1940 r. przybył pierwszy transport ponad siedmiuset polskich więźniów z Tarnowa, nikt nie wiedział, że właśnie w tym obozie, na ziemi wcielonej do Rzeszy, rozgrywać się będą sceny, przy których zbledną obrazy z piekła Dantego.



Bloki obozowe KL Auschwitz



Kenkartka Witolda Pileckiego



Bloki obozowe KL Auschwitz
Camp blocks at KL Auschwitz





Ponieważ wyrastały tam wciąż nowe skupiska baraków, w dowództwie jednego z licznych na początku okupacji tego podziemnych ugrupowań, Tajnej Armii Polskiej, zapadła decyzja, że ktoś musi przedostać się do środka. Czy Pilecki był pomysłodawcą planu, czy tylko chętnym do jego wykonania - nie wiadomo. Tłumiący w sobie każdą słabość obrońca polskich granic w 1920 r., potem kipiący energią w codziennej pracy obywatel ziemski z Nowogródzczyzny, pozwolił się ująć Niemcom i trafił do Auschwitz z transportem wieczorem 21 września 1940 r. Przez kolejne miesiące i lata wysyłał na zewnątrz szyfrowane meldunki o położeniu więźniów i działalności założonego przez siebie Związku Organizacji Wojskowej.

Od jego przybycia do lagru minął niespełna miesiąc, gdy nadał pierwszą wiadomość opisującą tamtejsze warunki egzystencji - dotarła ona kilka tygodni później do komendanta głównego

ZWZ, gen. Stefana Roweckiego, i na jego rozkaz została przekazana do Londynu. Po dwóch miesiącach przyszła od Pileckiego informacja o sformowaniu pierwszej „piątki” podziemnej struktury. Kolejne powstające pięcioosobowe grupy nie wiedziały o istnieniu innych. Ostatecznie, przed ucieczką Pileckiego w kwietniu 1943 r., ZOW liczył około ośmiuset zaprzysiężonych więźniów – taką siatkę trudno byłoby stworzyć jednemu człowiekowi poza obozem, a cóż dopiero wśród ludzi wygłodzonych, pracujących ponad siły i podatnych na pokusę, by się zmienić w „muzułmana”.

Moment, w którym Pilecki mógł spokojnie opisać wszystko, co widział, nadszedł dopiero po wojnie, we Włoszech. Od 1943 r. żył w wirze spraw konspiracyjnych, służył w Kedywie, potem w Powstaniu Warszawskim dowodził jednym z oddziałów zgrupowania „Chrobry II” w tzw. Reducie Witolda. Z ruin stolicy wyszedł jako jeńiec, a do 2. Korpusu gen. Władysława Andersa dołączył w 1945 r. po wyzwoleniu przez Amerykanów z niemieckiego obozu w Murnau.

Wśród licznych powojennych relacji obozowych nieznaną przez całe dekady Raport Witolda zajmuje miejsce szczególne: napisany został przez człowieka niezwyklego formatu duchowego, który dobrowolnie przekroczył bramy piekielne. Pełny tekst dokumentu ujrzał światło dzienne dopiero w 2000 r., gdyż Pilecki, aresztowany i skazany na śmierć po powrocie do pojałtańskiej Polski, został stracony w 1948 r. za współpracę ze sztabem 2. Korpusu. „Oświęcim przy tym to była igraszka” – szepnął żonie podczas ostatniego widzenia. Jego skatowane ciało bezpieka prawdopodobnie wrzuciła do dołu na warszawskiej Łączce.

„Rżnięto nas ostrymi narzędziami”

Raport Witolda to źródło wszechstronne: stanowi unikatowy opis budowy i działalności podziemia w łagrze, dowodzi fundamentalnego znaczenia żelaznej wewnętrznej dyscypliny dla przetrwania w morderczych warunkach i, wreszcie, analizuje zachowania ludzkie w warunkach ekstremalnych. „Widziało się powolną śmierć przyjaciela i niejako konało się z nim razem... – pisał Pilecki o chwilach swojego wewnętrznego dojrzewania – a jednak człowiek odżywał, odradzał się, przeradzał. I jeśli tak dzieje się nie raz, a powiedzmy dziesięćdziesiąt – to trudno, staje się kimś innym, niż było się na ziemi... A ginęły nas tam tysiące... dziesiątki tysięcy... a potem już – setki tysięcy... [...]. Tak przekuwaliśmy się wewnątrznie”.

Nie wszyscy, rzecz jasna. „Obóz był probierzem, gdzie się sprawdzały charaktery. Jedni staczali się w moralne bagno. Inni szlifowali swe charaktery jak kryształ. Rżnięto nas ostrymi narzędziami. Ciosy boleśnie wrzynały się w ciała, lecz w duszy znajdowały pole do przeorania... To przeradzanie się przechodzili wszyscy. Jak pługiem przeorana ziemia odkłada się na prawo w skibę urodzajną – po lewej zostawała do przeorania dopiero w następnym cięciu. Czasami tylko pług wyskakiwał na jakimś kamieniu i zostawał kawał roli nie przerobiony, jałowy... nieużytek... Opadły z nas wszystkie tytuły, dystynkcje, dyplomy – zostały tam daleko, na ziemi... [...] Staliśmy się tylko nagą wartością. Tyle człowiek mógł i znaczył, ile był wart...”.

„Zakład dla obłąkanych”

Niezależnie od tego, o czym pisze autor, jego relacja stanowi w każdym fragmencie nade wszystko oskarżenie niemieckich oprawców. W chwili przybycia na miejsce przeznaczenia Pilecki zderzył się z rzeczywistością przekraczającą jego możliwości pojmowania – słowo „Oświęcim” było dla niego do tej pory tylko nazwą polskiego miasteczka. „To miejsce we wspomnieniach moich nazwałbym momentem, w którym kończyłem ze wszystkim, co było dotychczas na ziemi, i zacząłem coś, co było chyba gdzieś poza nią. [...] W głowy nasze uderzały nie tylko kolby esesmanów – uderzało coś więcej. Brutalnie kopnięto we wszystkie nasze pojęcia, do których myśmy się na ziemi przyzwyczaili (do jakiegoś porządku rzeczy – prawa). To wszystko wzięło w łeb”.

Szczuci psami, bici i zabijani w akompaniamencie szyderstw i śmiechu prześladowców, przekroczyli bramę z napisem „Arbeit macht frei”. „W nieco fantastycznym, pełzającym po nas ze wszystkich stron świetle reflektorów, widoczni byli jacyś niby-ludzie – wspominał Pilecki pierwsze zetknięcie z Niemcami w Auschwitz. – Z zachowania podobni raczej do dzikich zwierząt [...]. W dziwnych ubraniach w pasy, jakie się widziało na filmach o Sing-Sing, z orderami na kolorowych wstążkach (tak mi się wtedy w migającym świetle wydawało), z drągami w ręku, rzucili się z dzikim śmiechem na pojedynczych naszych kolegów. Bijąc ich po głowach, kopiąc leżących już na ziemi w nerki i w inne czułe miejsca, wskakując butami na piersi, brzuch – zadawali śmierć z niesamowitym jakimś entuzjazmem”.

Pierwsza próba zrozumienia sytuacji przez Pileckiego: „Ach! Więc zamknęli nas w zakładzie dla obłąkanych!” przeradza się szybko w rzeczywistą ocenę stanu rzeczy. Każdego pytano po niemiecku, kim był w cywilu. „Odpowiedź: ksiądz, sędzia, adwokat powodowała bicie i śmierć. Przede mną w piątce stał jakiś kolega, który na to pytanie, rzucone mu z równoczesnym ujęciem go garścią za ubranie pod gardłem, odpowiedział: »Richter« [niem.: sędzia]. Fatalny pomysł! Po chwili był na ziemi bity i kopany”. Pilecki wreszcie zrozumiał: „Więc wykańczano specjalnie inteligencję. Po tym spostrzeżeniu zmieniłem nieco zdanie. To nie obłąkańcy, to jakieś potworne narzędzie do wymordowania Polaków, rozpoczynające swe dzieło od inteligencji”.

I nie mylił się, taka bowiem miała być początkowo rola Auschwitz: katownia dla polskich inteligentów oraz Polaków walczących w podziemiu z Niemcami. Nasilający się ruch oporu przerósł wyobrażenia Niemców, więc przepelnione więzienia trzeba było „rozładować” – i zrobić tym samym miejsce dla kolejnych Polaków.

Dopiero w świetle dziennym Pilecki zobaczył, że „ordery”, które widział w makabrycznym nocnym szaleństwie, były naszywkami w kształcie trójkąta. Jeszcze w maju 1940 r. przywieziono do tworzonoego miejsca eksterminacji trzydziestu niemieckich przestępców z Sachsenhausen – to oni nosili zielone naszywki i numery od pierwszego do trzydziestego i jako funkcyjni byli przeznaczeni do nadzoru nad pozostałymi więźniami. Dołączyło do nich piętnastu esesmanów z Krakowa – powstał załazek przyszłej załogi.

Morderczy dryl

Przez ponad dwa i pół roku oglądał dzień po dniu i przeżywał noc po nocy piekło. „Oddano więc nas na blok 17a, w ręce blokowego Alojza zwanego później »krwawym Alojzem«. Był to Niemiec – komunista z czerwonym winklem – zwyrodnialec, siedzący w obozach około sześciu lat; bił, katował, znęcał się, uśmiercając codziennie kilka osób. Lubował się w porządku i dyscyplinie wojskowej, wyrównywał szeregi, bijąc drągiem”.

Pobudki nad ranem, bieg do latryny, gdzie zwlekających uderzenie drągiem wtrącało w topiel; bieg pod pompy, bo za brudne nogi bito drągiem; bieg po lurę zwaną kawą – „szarpiący nerwy rwetes”, jak pisze Pilecki, był jednym ze sposobów wykańczania „heftlingów”. Na apelu porannym odbywało się odliczanie. „Jeśli zdarzały się wypadki, że kogoś brakowało – nie dlatego, że uciekł, ale np. jakiś nowicjusz naiwnie się schował lub wprost zasnął – i apel się nie zgadzał ze stanem liczbowym lagru – wtedy szukano, znajdowano, wyciągano na plac i prawie zawsze zabijano publicznie. Czasami nieobecnym był więzień, który gdzieś się powiesił na strychu lub właśnie w czasie apelu »szedł na druty« – wtedy rozlegały się strzały wartownika na wieżyczce i więzień padał przeszyty kulami. »Na druty« szli więźniowie przeważnie rano – przed nowym dniem męki”.

Codziennie oglądał wymarsz kompanii karnej. Blokowy Ernst Krankemann „miał obowiązek wykańczać możliwie prędko przydzielanych mu prawie codziennie więźniów; obowiązek ten odpowiadał charakterowi tego człowieka. Jeśli się ktoś nieopatrznie wysunął parę centymetrów w przód, to Krankemann wbijał mu noszony w prawym rękawie nóż. Ten zaś, kto przez zbytnią ostrożność cofnął się trochę za wiele, otrzymywał od przebiegającego szeregi kata – cios nożem w nerki. Widok padającego człowieka, kopiącego nogami czy wydającego jęki, rozwścieczał Krankemanna. Wskakiwał wtedy na jego klatkę piersiową, kopał w nerki, w narządy płciowe, wykańczał jak najprędzej”. Ten widok „przenikał prądem” Pileckiego.

Odпочać, gdy zabijali innych

„Krematorium budowaliśmy dla siebie – pisał. – Rusztowanie wokół komina wznosiło się coraz wyżej. Z taczka napelnioną [...] trzeba było szybko się posuwać, a i po deskach ułożonych dalej – pchać taczka biegiem. Co 15–20 kroków stał kapo. [...] Tu konkurowały z sobą w walce o życie mięśnie, spryt i oczy. Trzeba było mieć dużo siły, aby pchać taczka, trzeba było umieć utrzymać ją na desce, trzeba było widzieć i wybrać odpowiedni moment »na wstrzymanie« w pracy, aby złapać oddech w zmęczone płuca. Tu właśnie widziałem, jak wielu z nas, inteligentów, nie daje sobie rady w ciężkich, bezwzględnych warunkach. Tak – wtedy przechodziliśmy twardą selekcję. [...] Wszyscy, którzy się do pracy nie nadawali lub nie mieli już sił biegać z taczka, byli bici, a przy upadku – zabijani drągiem lub butem. W takich właśnie chwilach zabijania innego więźnia człowiek, jak prawdziwe zwierzę, stał parę minut, łapał oddech w szybko pracujące płuca, wyrównywał nieco tempo łopoczącego serca...”.

Ci, dla których pracy zabrakło, byli zmuszani do „uprawiania gimnastyki”. „Niemożliwością

było zrobić »żabkę« dookoła wielkiego placu – już nie dlatego, że w drewniakach, bo się je brało wtedy w ręce, i nie dlatego, że boso po żwirze zdierało się skórę ze stóp do krwi; lecz dlatego, że żadne mięśnie na taki wyczyn nie wystarczały. Tu znowu ratowała mnie zaprawa sportowa z lat przeszłych. Tu znowu wykańczano słabych inteligentów z brzuszkiem, dla których niemożliwa była żabka nawet na krótkiej przestrzeni. Tu znowu kij spadał na głowy tych, co się co parę kroków przewracali. Znowu niemiłosierne kończenie ludzi. I znowu, jak zwierzę, człowiek korzystał z chwili wytchnienia i łapał oddech w momencie, gdy zgraja z kijami obskakiwała jakąś nową ofiarę” – tyle Pilecki.

„Niech zdychają”

„Bestialstwo oprawców niemieckich, które zwyrodnialczo podkreślało instynkty wyrostków, zbrodniarzy, niegdyś – kilkuletnich więźniów »kacetów« niemieckich, dziś – stanowiących naszą władzę w Oświęcimiu, przejawiało się tu i tam w najrozmaitszych odmianach. W SK [Strafkompanie – niem.: kompania karna] oprawcy zabawiali się, rozbijając jądra – przeważnie Żydom – drewnianym młotkiem na pieńku – tak w relacji Witolda Pileckiego kończył się rok 1940. – Esesman, »Perełką« przezwany, ćwiczył swego psa, wilka, w rzucaniu się na ludzi, używając do tego materiału ludzkiego, który nic tu nikogo nie obchodził. Wilk rzucał się na przebiegających podczas pracy więźniów, powalał osłabione ofiary, wgrzyzał się w ciała, rwał zębami, szarpał narządy płciowe, dusił za gardło”.

Po pierwszej ucieczce więźnia przez pojedynczy jeszcze i niepodłączony do prądu druciany płot władze wpadły w szal. „Po ustaleniu na apelu braku jednego więźnia, za karę cały obóz przez 15 godzin trzymano na placu w postawie zasadniczej. Ma się rozumieć, nikt nie dał rady stać na baczność. Pod koniec stójki stan ludzi bez jedzenia, bez możliwości wyjścia do ubikacji był opłakany. Szeregi przebiegali esesmani i kapowie, bijąc kijami tych, co nie mogli stać. Niektórzy mdleli wprost ze zmęczenia. Na interwencję niemieckiego lekarza komendant lagru odpowiedział: »Niech zdychają. Jak połowa będzie zdychać – wtedy zwolnię!«. Lekarz ten zaczął przechodzić szeregi i namawiał, żeby się kładli. Gdy ogromna masa ludzi leżała na ziemi, a kapowie nawet do bicia nie mieli ochoty, ogłoszono wreszcie koniec »stójki«”.

Poili katowanych octem

Najlżejszą karą wymierzaną przez esesmanów było bicie na stołku. „Przygotowany był »mebel egzekucyjny« – stołek z uchwytem na nogi i ręce po obu stronach. Stawało dwóch drabów esesmanów (często bił sam Seidler lub czasami Bruno) i biło więźnia w obnażoną część ciała, by nie niszczyć ubrania. Bito bykowcami lub po prostu ciężką laską. Po kilkunastu uderzeniach przerynało się ciało. Tryskała krew i dalsze razy uderzały już tak, jak w siekany kotlet. Byłem świadkiem tego nie raz – wspominał rotmistrz. – Czasami otrzymywano 50 kijów, czasami – 75. Pewnego razu, przy wymiarze kary 100 kijów, około pięćdziesiątego uderzenia więzień – jakiś mizerak – zakończył życie”.

Bunkier zwykły, bunkier „ciemny”, bunkier do stania (Stehbunker) – to kolejne sposoby

dręczenia. Do Stehbunkra, o wymiarach 89 na 80 centymetrów i wysokiego na dwa metry, „wciskano, pomagając kijem, czterech więźniów [...] i zamykając ich sztabami, pozostawiano do rana (od godziny 19.00 do 6.00 rano). Zdawałoby się to niemożliwe, lecz żyją dziś jeszcze świadkowie, którzy odbywali karę »Stehbunkra« w towarzystwie kolegów, wciśnięci do takiej »szafy« w ilości ośmiu ludzi! Rano ich wypuszczano i brano do pracy, a na noc znowu wciskano, jak śledzie, zamykając sztabami żelaznymi do rana. Wymiar kary zazwyczaj sięgał 5 nocy, lecz bywał również i znacznie większy. Kto nie miał w pracy jakichś stosunków z władzą, ten po jednej lub paru takich nocach, w robocie, z braku sił, zazwyczaj kończył życie”. Był też od 1941 r. bunkier głodowy, gdzie zamykano więźniów z bloku, z którego ktoś uciekł. Tam właśnie zastrzykiem z fenolu dobito konającego przez dwa tygodnie św. Maksymiliana Kolbego.

Pileckiemu nie dane było zetknąć się w tej masie ludzi ze św. Maksymilianem, ale dotarli doń pogłoski o jego ofierze. Podczas selekcji na śmierć w bunkrze głodowym „wydarzył się wypadek, że gdy wybrano młodego więźnia, z szeregu wystąpił starsuszek-ksiądz i prosił komendanta obozu, by wybrał jego, a zwolnił tamtego młodego od kary – notował w swoim raporcie. – Blok skamieniał z wrażenia. Komendant zgodził się. Ksiądz-bohater poszedł na śmierć, a tamten więzień wrócił do szeregu”.

Niemcy stosowali też tradycyjny „słupek”, znany z armii zaborczych, ale „wiszących, uwiązanych za ręce z tyłu, od czasu do czasu bujał dla zabawy dozorujący esesman. Wtedy stawy trzeszczały, w ciało wrzynały się sznury. Dobrze było, gdy nie zjawiał się tu »Perełka« ze swym wilkiem. W ten sposób prowadzono czasami dochodzenia, pojąc wiszącego sokiem z sałatki-marynaty, krótko mówiąc – octem, by nie zemdlął przedwcześnie”.

Pod „ścianą płaczu” jak w rzeźni

„Przez bardzo długo męczonych” najbardziej pożądaną była, jak pisze Pilecki, kara śmierci – najcięższa, ale w warunkach Auschwitz uchodząca za lżejszą od pozostałych, bo szybka. „Był tam dziedziniec ograniczony blokami [...]. Od wschodu zamknięty murem, ścianą łączącą bloki, a nazywaną »ścianą płaczu«. Od zachodu też stał mur, w którym była brama [...]. Otwierała swe podwoje przed ofiarą żywą lub dla wyrzucenia okrwawionych trupów. Przechodząc tamtędy, czuło się taki zapach, jaki panuje w rzeźni. Rynsztoczkiem płynęła czerwona struga. Bielono rynsztoczek, lecz prawie codziennie wśród białych brzegów czerwona rzeczka wiała się na nowo...”.

To była ziemia esesmana Gerharda Palitzscha. „Przystojny chłopak, który w lagrze nikogo nie bił, bo to nie było w jego stylu – wewnątrz zamkniętego dziedzińca był głównym autorem scen makabrycznych – czytamy w Raporcie Witolda. – Skazani, w rzędzie, stawali nago przy »ścianie płaczu«, on im kolejno przykładał małokalibrowy karabinek pod czaszkę z tyłu głowy i kończył im życie. Czasami do tego celu używał zwyczajnego bolca do zabijania bydła. Sprężynowy bolec wrzynał się w mózg, pod czaszkę i kończył życie. Czasami wprowadzano grupkę cywili, których dręczono w podziemiach zeznaniami,

Palitzschowi dając ich do zabawy. Dziewczętom kazał się Palitzsch rozbierać i biegać w koło po zamkniętym dziedzińcu. Stojąc w środku, wybierał długo, po czym mierzył, strzelał, zabijał – kolejno wszystkie. Żadna nie wiedziała, która zginie zaraz, a która jeszcze pożyje chwilę, czy też może znowu wezmą na badania... On zaprawiał się w celnym mierzeniu i strzelaniu”.

Tysiącami do komór

Masowa akcja uśmiercania gazem – przede wszystkim Żydów – rozpoczęła się na wiosnę 1942 r. w pierwszej komorze gazowej w tzw. obozie macierzystym (Auschwitz I). By ukryć zbrodnicze praktyki, urządzono dwie prowizoryczne komory w przebudowanych chałupach wiejskich przy powstającym Auschwitz II-Birkenau: od marca funkcję tę pełnił „czerwony domek”, a od września – „biały”, zwane tak od koloru ścian.

W lipcu 1942 r. pojawił się z wizytą Reichsführer Heinrich Himmler, który – dokonawszy przeglądu „wydajności” komór – zdecydował o budowie urządzeń do unicestwiania na masową skalę. Latem 1942 r. niemiecka firma Hoch- und Tiefbau AG z Katowic zaczęła budowę czterech dużych budynków (krematoria II, III, IV i V), a piece dostarczyła firma J.A. Topf und Söhne z Erfurtu. Zaczęły one pracować pełną parą między marcem a czerwcem 1943 r.

Pilecki był świadkiem przybywania kolejnych transportów. „Tymczasem pierwsze [krematoria] już pracowały z całą mocą. A transporty wciąż szły i szły... Część więźniów przywożono do nas, do obozu i tu ich ewidencjonowano, nadając numery, które sięgały już ponad 40 tysięcy, lecz ogromna większość transportów szła wprost do Brzezinki, gdzie ludzi bez ewidencjonowania przerabiano szybko na dym i popiół. Przeciętnie dziennie spalano w tym czasie około tysiąca ciał”. Według komendanta Rudolfa Hössa, w pierwszej z komór można było udusić za jednym razem około 800 osób, a w drugiej – około 1200 osób.

„Kto jechał i dlaczego jechał wprost w paszczę śmierci? Jechali Żydzi z Czech, Francji, Holandii i innych krajów Europy. [...] Miałem okazję kilka razy rozmawiać z Żydami z Francji i raz, z rzadko tu spotykanym, transportem z Polski. Był to transport Żydów z Białegostoku i Grodna. [...] mówili zgodnie. [...] że wyjeżdżali na skutek ogłoszeń urzędowych w różnych miastach i państwach pod zaborem niemieckim, z których wynikało, że tylko ci Żydzi będą mogli jeszcze żyć, którzy pojedą do pracy w Trzeciej Rzeszy. [...] Transporty kolejowe wiozące codziennie około tysiąca ludzi kończyły swoją trasę na bocznicę. Pociągi podstawiano pod rampy i wyładowywano zawartość” – opisywał Pilecki znane już dziś realia zagłady Żydów.

„Wieźli ich jak stado zwierząt na rzeź – pisał. – Na razie, niczego nie przeczuwając – na rozkaz – pasażerowie wysiadali na rampę. Dla uniknięcia kłopotliwych scen zachowywano wobec nich względną grzeczność. Kazano odłożyć żywność na jedną przysię, na drugą – wszystkie rzeczy. [...] Później dzielono na grupy. Mężczyźni i chłopcy ponad 13-letni szli do jednej grupy; kobiety z dziećmi – do drugiej. Pod pretekstem konieczności

wykąpania kazano im wszystkim rozbierać się w dwóch osobnych grupach, zachowując pozory poczucia wstydlivości. Ubrania układały obie grupy również w dwa wielkie stopy, celem niby przekazania do dezynfekcji. [...] Potem setkami, osobno kobiety z dziećmi, osobno mężczyźni, szli do baraków, które miały być łaźniami (były komorami gazowymi!). Okna były tylko z zewnątrz – fikcyjne, wewnątrz był mur. Po zamknięciu uszczelnionych drzwi wewnątrz odbywał się masowy mord. Z balkoniku-krużganku esesman w masce gazowej zrzucił na głowy zebranego pod nim tłumu gaz. [...] Trwało to kilka minut. Czekano dziesięć. Następnie wietrzono, otwierano drzwi komór po przeciwnej stronie od rampy i komanda złożone z Żydów przewoziły ciepłe jeszcze ciała taczkami i wagonetkami do pobliskich krematoriów, gdzie trupy szybko spalano. Tymczasem szły do komór następne setki”.

Tajemnice bloku dziesiątego

Wspominał też Pilecki o znęcaniu się nad ludźmi przez studentów medycyny i lekarzy. Eksperymenty, jak eufemistycznie określano bestialstwo zaplanowane na szczeblu centralnym, miały służyć potrzebom armii i realizacji powojennej polityki eugenicznej wobec narodów zniewolonych. Nie bez znaczenia była też okazja do „naukowego” podbudowania teorii głoszącej wyższości rasy aryjskiej. Niezwykle zainteresowane eksperymentami były niemieckie firmy farmaceutyczne.

„Lekarze i studenci medycyny robili doświadczenia, mając przecież ogrom materiału ludzkiego, za który przed nikim nie ponosili żadnej odpowiedzialności. Życie tych królików doświadczalnych i tak oddane było na pastwę tych zwyrodnialców w obozie – tak czy inaczej zostaną zamordowani; wszystko jedno jak i gdzie – i tak będzie popiół. Więc robiono najróżniejsze doświadczenia z dziedziny seksualnej. Sterylizacja kobiet i mężczyzn zabiegiem chirurgicznym. Naświetlanie narządów płciowych obu płci jakimiś promieniami, które miały likwidować zdolności rozrodcze. Przy tym następne próby wykazywały, czy wynik był pozytywny, czy nie.

Stosunków płciowych nie stosowano – pisał dalej Pilecki. – Było komando kilku mężczyzn, którzy dostarczać musieli nasienie, a które natychmiast wstrzykiwano kobietom. Próby wykazywały, że po kilku miesiącach kobiety poddane naświetlaniu narządów, zachodziły w ciążę znowu. Wtedy zastosowano promienie znacznie silniejsze, które spaliły ich organy, i kilkadziesiąt kobiet zmarło w strasznych męczarniach.

Eksperymenty te stosowano na kobietach wszystkich ras. Z Birkenau przywożono Polki, Niemki, Żydówki i ostatnio Cyganki. Z Grecji przywieziono kilkadziesiąt młodych dziewczyn, które zginęły w tych eksperymentach. Wszystkie, nawet po udanym eksperymencie, likwidowano. Żadna kobieta ani żaden mężczyzna żywi z bloku nr 10 nie wyszli”.

Byli Niemcy, są naziści

Niepodobna było wyobrazić sobie jeszcze dwadzieścia lat temu, że wszystkie te odrażające niemieckie zbrodnie pójdą w zapomnienie. Wieloletnie starania elit Republiki Federalnej

odniosły sukces: z narodu „sprawców” udało się uczynić w oczach świata naród „ofiar”. W przeciągu dwóch dekad z języka, a także ze świadomości zniknęło „niemieckie ludobójstwo”, a jego miejsce zajęło „ludobójstwo nazistowskie”. Wprowadzenie słowa-wytrychu, zdejmującego z Niemców całe odium, musiało mieć swoje konsekwencje: ponieważ niepodobna zanegować faktu, że w latach 1939–1945 Europa spłynęła krwią, należało wskazać sprawców. Tak odkryto „nazistów”. W niemieckiej Wikipedii pod hasłem „narodowy socjalizm” autorzy piszą: „Radykalny antysemityczny, rasistowski, antykomunistyczny i antydemokratyczny światopogląd oraz ruch polityczny”, a o jego niemieckim pochodzeniu wspominają osobno, w dalszej kolejności, nadając temu zjawisku charakter ogólny i odejmując mu „przynależność narodową”: nazistą mógł i może być przecież każdy, kto czynem lub słowem daje wyraz „antysemityzmowi”, „rasizmowi” „antykomunizmowi” lub niechęci do demokracji – i czyni to w sposób „radykalny”.

Skoro za cierpienia milionów ludzi odpowiedzialni są „naziści”, gdzie jest miejsce dla Niemców? Oczywiście wśród ofiar. Bo cały naród znalazł się pod rządami zbrodniczej kliki – takie przekonanie ugruntowało się w świadomości nie tylko Niemców. Jeżeli NSDAP była „nazistowska”, to przecież nie musiała być „niemiecka”. Miarą sukcesu propagandowego niech będzie konieczność przypominania faktu oczywistego dla pokolenia rotmistrza Pileckiego i jego dzieci: członkiem NSDAP mógł być tylko Niemiec.

Wszystkie cytaty Raportu Witolda pochodzą z: A. Cyra, *Ochotnik do Auschwitz. Witold Pilecki 1901–1948*, Oświęcim 2000.

Anna Zechenter

[Artykuł opublikowany w „Biuletynie IPN” \(nr 1-2/2018\)](#)